

## Prolog

5 listopada 2001

Budzik zadzwonił o 7.00 rano. Stanisław Szafran zwałół swoje niemal stukilogramowe ciało z łóżka, by zrobić śniadanie dla siebie, żony i pięcioletniej córki. Pomysł na najważniejszy posiłek dnia był prosty i, co ważniejsze, szybki w realizacji: jajecznicą z ósmiu jajek dla niego, dwóch dla Asi i jednego dla Weroniki, do tego kanapki z żółtym serem i dżemem.

Szafran preferował dietę bogatą w węglowodany. Było to przyzwyczajenie z pracy w brygadzie antyterrorystycznej, jak i konieczność czasów obecnych, ponieważ cały czas trenował na siłowni. Rozbił ósme jajko o brzeg ceramicznej salaterki – odkąd kiedyś trafił na zbuka i musiał wywalić tuzin jaj do muszli klozetowej, nie robił tego bezpośrednio na patelnię – uśmiechając się przy tym szeroko na wspomnienie Mistrzostw Polski Służb Mundurowych w Wyciskaniu Sztangi Leżąc, gdzie wynikiem 200 kilogramów zdobył tytuł czempiona w kategorii wagowej do 100 kilogramów.

Po wspólnym śniadaniu żona z córką zeszły przed blok, gdzie Szafran już na nie czekał w pięciodrzwiowym fiacie punto koloru zielonego z 1997 roku. Auto, oprócz tego, że niemal nowe – miało dopiero 4 lata, spośród innych stojących na osiedlowym parkingu odznaczało się jedną charakterystyczną cechą: było czyściutkie. Ale nie mogło wyglądać inaczej, w rodzinie Szafranów dbałość o samochody była chyba przekazywana w genach z równą skutecznością, co kolor oczu, rodzaj włosów i budowa ciała. Staszek tych genów miał albo najwięcej, albo też były najlepszej jakości, bo dbał o swoje punto z niezwykłą pieczołowitością, średnio raz w tygodniu sprząając je i myjąc u teściów w odległym o niespełna 20 kilometrów Wołowcu. Fiat był tak dopieszczony, że w środku było czystiej niż w niejednym szpitalu, tak czysto, że czasami w żartach, wpuszczając znajomego do środka, kazał

mu zdejmować buty.

Szafran odwiózł żonę do pracy w banku, a córkę do przedszkola. Potem zjechał pod komendę mieszczącą się przy ulicy Kąpielowej 14, najpierw przejeżdżając pod linią wysokiego napięcia, potem w bramie mijając 6 strzelistych topoli (jeszcze kilka takich i można by powiedzieć, że janowiccy policjanci pracują w lesie), na końcu w majestacie prawa ignorując znak zakazu wjazdu dotyczący pracowników Komendy Powiatowej Policji.

Budynek był trzypiętrowy, z poddaszem użytkowym, przez niektórych nazywanym czwartym piętrem. Od frontu miał 2 wejścia. Służbowe, po lewej stronie, odznaczało się misternie kutą poręczą. Natomiast wejście po prawej odcinało się od otoczenia mocno odrapanymi drzwiami, jakby już sam ten fakt determinował jego przeznaczenie: dla tych, którzy z jakichś powodów byli z prawem na bakier i postanowili koniecznie odwiedzić policyjny dołek. Co ciekawe, choć raczej należałoby powiedzieć: dziwne, okna pomieszczeń policyjnej izby zatrzymań wychodziły na parking, a mimo że były zakratowane, to koledzy i koleżanki zatrzymanych nie mieli żadnych problemów, żeby się z pensjonariuszami dołka porozumieć. Wystarczyło, że ci pierwsi uchylali okna, a ci drudzy mówili nieco głośniejszym szeptem. Oczywiście, dyżurny próbował co jakiś czas ich stamtąd przeganiać, ale daremnie.

Szafran pokonał dwoma susami 6 schodów wiodących pod drzwi, myśląc już o kolejnych zadaniach zaplanowanych na ten dzień i setkach papierków do wypełnienia. Machnął dyżurnemu ręką na przywitanie, kątem oka rejestrując równie męską odpowiedź, skręcił ostro w lewo, kierując się ku klatce schodowej.

Nic nie zapowiadało trzęsienia ziemi, które wkrótce miało wstrząsnąć nie tylko jego życiem, ale całymi Janowicami Małymi.

\*

Otworzył drzwi pokoju numer 505, na których widniała odpowiednio dużych rozmiarów niebieska tabliczka „Zespół operacyjno-rozpoznawczy”, i znalazł się w swoim królestwie, które dzielił z jednym z kolegów. Pokój – jakieś 3 na 3,5 metra, z czego część zabierał skos poddasza – miał jedną zasadniczą zaletę i równie wyraźną wadę. Plus był taki, że pomieszczenie na poddaszu było położone w narożniku budynku, z dala od zgiełku, który zwykle ogarniał komendę od samego rana. Minus: fakt, że przy dużym słońcu w środku robiło się niemiłosiernie gorąco, a otwieranie zakratowanego okna przynosiło raczej mizerny skutek.

Pierwsze, co Szafran zrobił, to zaparzył kawę, czarną, z ekspresu.

Potem otworzył szafę pancerną, wyciągnął z niej plik dokumentów, już miał położyć go na biurku, gdy dostrzegł okazały stos papierów leżących na blacie. Westchnął głęboko, zastanawiając się, czy naprawdę dobra policyjna robota musi oznaczać produkowanie aż takiej ilości makulatury.

Miał takie momenty w dotychczasowej sześcioletniej służbie, że strasznie mu to ciążyło; jak niemal każdy szanujący się funkcjonariusz wolał pracować w terenie, a nie za biurkiem. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że kwestia była nie do przeskokowania.

Westchnął więc jeszcze mocniej i z plikiem papierów podszedł do okna, patrząc w dal, na swój blok, położony jakieś 150-200 metrów od komendy. Wiedział, że nie dojrzy okien mieszkania, to bowiem znajdowało się z drugiej strony budynku, ale lubił patrzeć choćby na sam blok. Nagle jego wzrok padł na policyjny parking, dostrzegł obcy samochód na krzesanickich numerach rejestracyjnych.

– Wewnętrzni przyjechali – do pokoju wpadł starszy posterunkowy Janusz Klemiński (dla przyjaciół Klem), pokazując palcem na okno.

– Pewnie znowu po kwity na kogoś – Szafran machnął

ręką.

Nie był to pierwszy i na pewno nie ostatni raz, kiedy funkcjonariusze Wydziału Wewnętrznego Komendy Wojewódzkiej Policji w Krzesanicy przyjeżdżali do Janowic Małych; nic, czym warto było sobie zawracać głowę.

Chwilę potem obaj zeszli na odprawę u naczelnika wydziału kryminalnego Mariusza Grzelki. Do 505 wrócili krótko po 9.00, od razu stanęli do walki z biurokracją, co chwilę popijając zimną już kawę.

\*

Nie minęły dwie godziny przerzucania papierków, pisania raportów, odpisywania na szereg nieistotnych pism, gdy biurko zatrzęsło się od dzwonka telefonu.

– Szafran, słucham – podniósł słuchawkę, w duchu ciesząc się, że ktoś przerwał nudną pracę.

– Zajdź do mnie – po drugiej stronie usłyszał cichy głos komendanta Grzegorza Pryczki.

Nie pierwszy raz komendant wzywał go do siebie o tak wczesnej porze, ale mimo to Szafran, nie wiedząc czemu, poczuł się nieswojo.

– Schodzę do głównego – rzucił w stronę Klema.

Zbiegł schodami na drugie piętro, skręcił w lewo i różnym krokiem pokonał kilkanaście metrów dzielących go od pokoju 307, czyli sekretariatu, przez który wchodziło się do gabinetów komendanta i jego zastępcy. Tuż przed wejściem poczuł specyficzny zapach dolatujący z ubikacji. Nagle przypomniały mu się setki godzin męczenia ciała na siłowni zlokalizowanej w piwnicy. Spojrzał na toaletę, to właśnie w tej klitce próbował się zawsze odświeżyć po ćwiczeniach, o ile można to było zrobić przy pomocy małej umywalki i lodowatej wody.

– Dzień dobry – rzucił machinalnie, przestąpiwszy próg sekretariatu.

– Dzień dobry – odpowiedziała sekretarka, jednym spojrzeniem

rejestrując, kto się pojawił. – Pan wejdzie.

– Panie komendancie, melduje się młodszy aspirant Szafran

– rzekł regulaminowo natychmiast po wejściu, potakując przy tym głową.

Dopiero teraz dostrzegł dwóch funkcjonariuszy Wydziału Wewnętrznego ubranych po cywilnemu, ale znanych mu doskonale:

Jerzego Mordela i Ryszarda Dołomisiewicza. Obaj

stali po prawej stronie Szafrana, pod oknem, naprzeciwko nich zobaczył prokurator Marzannę Wilamowską z Prokuratury Okręgowej w Krzesanicy. Cała trójka znajdowała się między nim a komendantem, jakby w ten sposób chcąc obu policjantów oddzielić.

Szafran spuścił głowę, wbił oczy w podłogę. Myśl, jaka przyszła mu do głowy, była równie absurdalna, co sytuacja, w jakiej się właśnie znalazł. Mimo że brzegi dywanu rozłożonego na parkiecie w gabinecie komendanta były przymocowane specjalnymi listwami mającymi go zabezpieczyć przed przesuwaniem się, był tak pomarszczony, że chodząc po nim, trzeba było uważać, żeby się nie potknąć. Dodając do tego boazerię, położoną chyba jeszcze za wczesnego Gierka, odnowioną białą farbą, oraz nie mniej klimatyczne styropianowe kasetony przyklejone do sufitu, otrzymywało się efekt przeniesienia co najmniej 20 lat wstecz, jeśli nie więcej.

Szafran otrząsnął się z absurdalnej myśli, spojrział raz jeszcze na funkcjonariuszy Wydziału Wewnętrznego, przeniósł spojrzenie na panią prokurator, po czym popatrzył bez słowa na komendanta, który również milczał.

Dotarło do niego, że koszmar, którego przyjscia obawiał się od tylu miesięcy, właśnie się zaczął.

\*

– Panie Szafran... – komendant Pryczka stał za potężnym biurkiem, przy którym w trakcie odpraw mieściło się kilkanaście osób. Mówił tak cicho, że niemal szeptał. – Panowie

z Wydziału Wewnętrznego i pani prokurator przyjechali w pańskiej sprawie – kontynuował grobowym głosem.

– Nakazem prokuratora Prokuratury Okręgowej w Krzesanicy zostaje pan zatrzymany w chwili obecnej – prokurator Wilamowska wyrecytowała formułkę sprawnie, niczym inwokację z „Pana Tadeusza”. – Pozostaje pan do dyspozycji prokuratury.

– Gdzie pan ma broń? – spytał Mordel.

– Teraz to „pan”, a jeszcze kilka dni temu byliśmy na „ty” – pomyślał Szafran, a na głos powiedział obojętnie:

– Przy sobie.

– Proszę o oddanie broni i legitymacji – polecił Mordel.

Szafran wyjął z kabury pistolet glock 17, chwycił za lufę i spokojnie podał Mordelowi, chwilę później oddał mu policyjną legitymację i odznakę.

– Proszę pana, pojedziemy do pana domu na przeszukanie

– Mordel wskazał ręką drzwi.

W tym samym ułamku sekundy Dołomisiewicz wyciągnął zza pleców kajdanki.

– Chłopaki, przecież się znamy... Nie będę robił problemów...

– Szafran próbował się uśmiechnąć, ale skutek był daleki od zamierzonego. – Proszę, nie zakładajcie mi obrączek...

Policjanci odpowiedzieli milczeniem.

– Nie zakładajcie mi ich – poprosił ponownie Szafran.

Dołomisiewicz, nie mrugnawszy nawet powieką, wyciągnął kajdanki przed siebie i bez słowa tłumaczenia, bez żadnego:

„Staszek, przepraszam, ale to mój obowiązek”, założył

je. Zrobił to z bojowym nastawieniem, które można było

wyczytać z oczu i twarzy. Zresztą, obaj funkcjonariusze Wydziału

Wewnętrznego patrzyli na Szafrana, jakby w tym momencie

był najbardziej niebezpiecznym przestępcą w Polsce:

z nienawiścią zmieszana z pogardą.

Kiedy obręcze zacisnęły się na przegubach, Szafran poczuł

znaczenie słowa „upokorzenie”. To samo musiał chyba w tym

momencie pomyśleć komendant Pryczka, bo przyglądał się scenie z zaciśniętymi zębami, jakby w tej jednej chwili skuli jego samego, a nie podwładnego.

– Zarzućcie mi chociaż coś na ręce, żeby nie było widać – poprosił Szafran.

Dało się tylko słyszeć brzęczenie jarzeniówek rozświetlających gabinet komendanta wściekle nienaturalnym białym światłem.

Mordel z Dołomisiewiczem chwycili Szafrana pod ramiona i wyprowadzili na korytarz. Gdy wychodzili z budynku, odprowadzały ich ukradkowe, przerażone spojrzenia policjantów janowickiej komendy. Znacznie później Szafran dowiedział się, że w tym samym czasie dwie inne ekipy złożone z funkcjonariuszy Wydziału Wewnętrznego i prokuratorów zatrzymywały dwóch jego kolegów z Trójki Pik: Klema i Robota, czyli Roberta Kozłowskiego.

## Rozdział 2

Zajęcia w pododdziale antyterrorystycznym codziennie wyglądały bardzo podobnie. Pobudka o 6.30, szybkie mycie, golenie się i śniadanie. Godzinę później była już odprawa i rozdysponowanie zadań na dany dzień. Zdarzało się, że niektórzy z funkcjonariuszy brali udział w akcjach bojowych, na przykład przy zatrzymaniu niebezpiecznych osób. Ci, którzy ćwiczyli „na sucho”, od 8.20 zaczynali zajęcia szkoleniowe: na dobry początek w ramach treningu kondycyjnego pięciokilometrowy bieg. Po powrocie do jednostki chwila przerwy na kawę, potem przenosili się do hali Gwardii, przebierali w kimona i godzinę albo półtorej szkolili się w walce wręcz, z pomocą kajdanek czy noży, i to nie zawsze gumowych. Potem była jeszcze godzina zajęć na siłowni, następnie basen. Wróciwszy do jednostki, szli na trening strzelania „na sucho”. Wyciąganie broni, przeładowanie i przyjęcie odpowiedniej

pozycji. Ale nie tak, jak szkolą się policjanci w setkach komend w kraju: spokojne, miarowe wyjęcie broni z kabury, równie spokojne i miarowe przeładowanie i jeszcze bardziej miarowe i spokojne przymierzenie. Nie, antyterrorysty z Bystrej ćwiczyli to w szybkim półobrocie, z przysiadu, z siadu, stojąc, klęcząc, leżąc czy tuż po przewrocie. Ulubionym ćwiczeniem Szafrana było trzymanie wymierzonej broni przez kilkanaście, kilkadziesiąt sekund, a dopiero potem, kiedy mięśnie zaczynały już drżeć od wysiłku, mierzenie do celu. Z równie wielką pasją ćwiczył wymianę magazynku dwiema rękami, jak i jedną, pozorując sytuację, gdy jest się rannym i tylko jedna górna kończyna pozostaje sprawna. Ba, ćwiczyli też takie warianty, jak przeładowanie magazynku przy pomocy nogi. Dążyli przy tym do tego, aby wyciągnięcie broni, jej przeładowanie i oddanie strzału trwało nie dłużej niż 3 sekundy. Dlaczego? Bo takie były rekordy służb specjalnych innych państw, a przecież antyterrorysty z Bystrej nie mogli być gorsi!

Trening strzelania „na sucho” trwał 2, czasem 3 godziny.

Wykonywali setki, jeśli nie tysiące powtórzeń, do znudzenia, po jakimś czasie mieli ochotę rzygać ze zmęczenia. Wszystko po to, aby wyrobić instynktowny odruch, który w warunkach bojowych mógł uratować zdrowie i życie. Po zajęciach fizycznych przychodził czas na teorię i oglądanie filmów szkoleniowych udostępnianych przez inne służby specjalne.

\*

Do obiadu zasiadali z reguły o 13.00, jedli go w stołówce na terenie jednostki, jedzenie było mniej więcej takie jak w wojsku.

Ulubionymi daniami Szafrana były: pierś z kurczaka, schabowy i gulasz. Zjadał również ogromne ilości ryżu i kaszy, uzupełniając mocno eksploatowane pokłady energii.

Po obiedzie była przerwa do 14.00, na kawę, wypicie soku czy pobranie sprzętu. Potem było na przykład „krojenie ciacha”, ale z sernikiem czy makowcem na podwieczorek nie



miało nic wspólnego. W policyjnym slangu oznaczało to bowiem taktyczne – czyli siłowe – wchodzenie do pomieszczeń.

Ćwiczyli też wyciąganie ludzi z samochodów w czasie jazdy czy wchodzenie po linach na mur.

Ciągle trenowanie miało na celu nie tylko przygotowanie ich do wysiłku i zmęczenia fizycznego, bo w tej jednostce kondycję wszyscy mieli świetną. Chodziło przede wszystkim o eliminowanie błędów, które instruktorzy wyłapywali z uporem maniaka, powtarzając przy tym do znudzenia trzy razy „P”: planowanie, przygotowanie, profesjonalizm. Chłopakom wydawało się, że tym razem wyszło już dobrze, a instruktorzy zawsze znaleźli jakiś mankament. A jak już wszystko zrobili przepisowo, to albo byli za wolni, albo za mało zgrani, a to któryś zamknął niepotrzebnie oczy na milionową część sekundy.

– Czułeś oddech partnera na plecach?! – wrzeszczał instruktor.

– Czułem, bo dmuchał mi do ucha! – padała odpowiedź.

– A ty, czułeś go, kurwa!?!

– Czułem go, bo wiem, co jadł wczoraj na kolację!

To były żarty, ale każdy z nich zdawał sobie sprawę, że w prawdziwej akcji będzie już śmiertelnie poważnie. I wtedy faktycznie trzeba wiedzieć, że partner jest tuż za tobą, że autentycznie czujesz jego oddech na swoich plecach. Tak więc nie narzekali, tylko ćwiczyli dalej, aż koszule przyklejały się do ciała każdym skrawkiem materiału. – Im więcej potu na treningu, tym mniej krwi w boju! – w głowach dźwięczało im hasło dowódcy.

Jeśli nie „kroili ciacha”, to biegli na strzelnicę bojową albo jechali w teren. I to, co przed obiadem ćwiczyli „na sucho”, teraz robili już jak najbardziej na ostro. Strzelanie dynamiczne bojową amunicją prowadzili na torze przeszkód, na którym pojawiały się postacie różnych ludzi. Na decyzję, do kogo strzelić, a kogo oszczędzić, były ułamki sekundy. „Ginęli” więc terroryści i osobnicy z bronią, ale zdarzało się też „zabić” cywila.

– Zastrzeliłeś ją! – darł się wtedy instruktor. – A to była twoja matka, patałachu! – krzyczał dalej. – Własną siostrę zabiłeś, baranie! – echo odbijało się od drewnianych makiet budynków i niosło hen daleko.

A po strzelaniu było analizowanie błędów. Do znudzenia.

\*

Jak ważne były takie ćwiczenia, pokazało samo życie. Zdarzyło się bowiem, że kolega, który akurat był za Szafranem i szykował się do strzału, postrzelił go w nogę. Na szczęście kula trafiła w but i przeszła na wylot, powodując jedynie otarcie. Szafran więc na własnej skórze miał okazję się przekonać, że z przeładowaną bronią nie ma zabawy. Dlatego też później, w czasie każdej akcji bojowej, nie trzymał palca wskazującego na języku spustowym, tylko na kabłąku. Przesunięcie go na spust zajmowało ułamek sekundy, za to wiedział, że nie strzeli przypadkowo, gdy się potknie czy ktoś go niechcący szturchnie.

#### Rozdział 4 (fragment)

O ile w sprawach operacyjnych Szafran po powrocie do janowickiej komendy był kompletnie zielony, o tyle była działka, w której nikt z kolegów i koleżanek nie mógł się z nim równać: doświadczenie antyterrorysty. Dlatego też od samego początku – taka zresztą była umowa z komendantem Pryczką – prowadził ćwiczenia z samoobrony oraz strzeleckie. Nie zamierzał wywierać otwartych drzwi, tylko wykorzystywał wiedzę zdobytą w Bystrej. Wpajał więc swoim kolegom zasadę, którą i jemu wpojono: „Im więcej potu na treningu, tym mniej krwi w boju!”.

Na zajęciach fizycznych policjanci zwykle grają w piłkę nożną, byle tylko odbębnić regulaminowe półtorej godziny tygodniowo, nic więc dziwnego, że potem niektórym funkcjonariuszom bębny zaczynają rosnąć i mają problem z przebiegnięciem 50 metrów w tempie żywszym od sprintu

ślimaka. Szafran, zamiast piłki kopanej, dawkował swoim uczniom walkę wręcz, naukę chwytów obezwładniających, takich, których nauczył się na treningach karate i judo, a które policjanci ze zwykłych komend powiatowych widzą co najwyżej na filmach z Chuckiem Norrisem.

Także strzelanie, którego uczył Szafran, miało niewiele wspólnego z rutynowym treningiem przewidzianym przez standardowy program szkolenia. Normalne ćwiczenia były statyczne i ograniczały się do odstrzelenia 5-6 „pestek” z P-64 do tarczy umieszczonej w odległości 7 metrów, a przed oddaniem strzału policjanci mieli czas na założenie okularów ochronnych, przybranie regulaminowej pozycji i czekanie na komendę instruktora: „Tarcza numer 23p ogniem pojedynczym ognia!”, a w międzyczasie wspomnienie całej rodziny do piątego pokolenia wstecz. Jak to przystawało do realiów ulicy, w których na wyciągnięcie broni z kabury, odbezpieczenie jej i oddanie strzału – a wcześniej uprzejme przedstawienie się słowami: „Stój! Policja! Będę strzelał!” – ma się sekundy? Nijak, oczywiście!

Dlatego Szafran wprowadził strzelanie dynamiczne, takie, które wykorzystuje się w życiu, a nie na papierze. Pokazywał, jak w ciągu ułamków sekund wyjąć broń z kabury i oddać strzał. Jak przez 15 sekund utrzymać wyciągnięte ręce, żeby nie drgnęły o milimetr. W jaki sposób się skupić, aby z 10 metrów trafić w papierosa czy zapalnik. Jak przebiec za delikwentem 50 metrów, nagle przystanąć, zgrać oddech, ustawić palec na kabłąku (nie na spuście, stopy ma się przecież tylko dwie!), przymierzyć i zaliczyć celne trafienie. Wprowadził też strzały z obrotu, leżąc czy z przewrotu, gdy traci się orientację w przestrzeni. Tym, którzy narzekali na niecelną broń, pomagał ustawiać muszkę-szczerbinę, pokazywał jak przy pomocy ciężarków ćwiczyć wytrzymałość rąk, uczył przyjmowania prawidłowej pozycji: nogi na szerokość ramion, ręce wyprostowane. Namawiać do trenowania nie musiał nikogo, koledzy

chcieli tego od zawsze, ale od zawsze była też bariera: „Nie ma tego w programie szkolenia”. Kiedy jednak znalazł się człowiek, który mógł takie bojowe strzelania przeprowadzić, to i ograniczenia ze strony przełożonych zniknęły. Większość kolegów była pełna podziwu dla Szafrana, jednak trafiały się również głosy, że młody za bardzo się stara i niepotrzebnie wychodzi przed szereg.

## Rozdział 5

Pracą policjanta często rządzi przypadek. Któregoś razu Szafran wybrał się z Karolem Pustelnikiem, kolegą z wydziału, na rutynowy patrol służbowym polonezem. Polonez niby był nieoznakowany, ale w mieście i tak wszyscy wiedzieli, że akurat ten „poldek” jest policyjny.

Patrol był rutynowy – polegał na jeżdżeniu po mieście tam i z powrotem i „zapuszczaniu żurawia” gdzie się tylko da. Na wylocie ulicy Starostawskiej, już za miastem, coś ich tknęło, żeby zjechać w las – językiem policyjnym określane mianem „kompleksu leśnego” – na dukt wiodący do Jagniątkowa. Kierował Pustelnik, jechał wolno, bo droga była wyboista. Wyjechali z lasu, przejechali skrzyżowanie z polną drogą wiodącą w stronę Jaworek, gdy w tylnym lusterku Pustelnikowi mignęło coś czerwonego. Kiwnął głową na Szafrana, ten się odwrócił.

– Ford sierra – zameldował Szafran. – Kroimy?

Pustelnik bez słowa wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu, wzbijając tumany kurzu. Dojechał do leśnej drogi na Jaworki, sprawnie wykręcił i ruszył za fordem. W tym czasie Szafran uchylił okno i wystawił koguta na dach.

Na dźwięk syreny sierra przyspieszyła.

– Uciekają! – krzyknął Szafran. – Widzę czterech łebków...

Szybciej!

Pustelnik wrzucił trójkę, ale kierowca forda też nie zamierzał

dawać im forów, zbliżył się już do wąwozu zarośniętego z obu stron niczym tropikalna dżungla.

Nagle policjanci dojrżeli we wnętrzu sierry ruch.

– Kurwa! Mają imperatora! – zaklął Pustelnik.

Szafran poczuł przyływ adrenaliny. Już broń krótka była niebezpieczna, ale strzelba gładkolufowa, jaką był imperator, to tym bardziej nie były przelewki. Nie namyślając się wiele, wyjął swojego glocka 17, tak samo jak Pustelnik. Obaj mieli nerwy naciągnięte jak postronki.

Nagle ford wjechał w wyjątkowo dużą dziurę i kilka metrów dalej auto stanęło. Otworzyły się wszystkie drzwi, po czym trzej mężczyźni skoczyli w las. Czwarty wygramolił się z dużą torbą treningową. Jednak albo to była jego pierwsza akcja i sparaliżowało go zdenerwowanie, albo też miał pecha, bo poślizgnął się w błocie, fikając koziołka. Instynktownie puścił rączki torby, ta runęła w kałużę, bryzgając wodą na boki. Ze środka wysypała się broń.

Szafran wyskoczył z poloneza, zanim jeszcze kierowca zdążył go zatrzymać.

– Stać! Policja! – krzyknął, oddając strzał ostrzegawczy.

Dwie sekundy później zakładał już pechowcowi kajdanki.

– Pilnuj go – rzucił w stronę Pustelnika, który zjawiał się za jego plecami, rozglądając bacznie dokoła. – Biegnę za tamtymi.

– Nie! – Pustelnik trzymał broń cały czas gotową do strzału.

– Mogą być uzbrojeni. W tych chaszczach wystrzelają nas jak kaczki.

Uwaga była słuszna, wezwali więc posiłki i zajęli się zabezpieczeniem terenu. Później udało się zatrzymać jeszcze jednego z uciekinierów. W ręce policji oprócz imperatora i dwóch pistoletów wpadło też mnóstwo amunicji.

Po oględzinach sierry wyszło na jaw, że auto stanęło, bo na dziurze podskoczyło tak bardzo, że z akumulatora spadły klemy.

## Rozdział 6

W tamtych latach plagą przygranicznych miast były kradzieże samochodów należących do Niemców, przyjeżdżających do Polski na zakupy i po benzynę. Najczęściej ginęły audi, volkswageny i mercedesy. Zdarzało się, że Niemiec wszedł do sklepu na stacji benzynowej, żeby zapłacić za paliwo, wychodził po 5 minutach, a auta już nie było. Mimo że dochodziło do kilkunastu takich zdarzeń dziennie w samych tylko Janowicach, amatorów zagranicznych zakupów nie brakowało, a to wszystko ze względu na korzystny kurs marki wobec złotego.

Janowicka policja na kradzieże aut była wyczulona, dlatego Szafran z kolegami często jako cel dostawali namierzenie przestępców specjalizujących się w tym procederze. Nie inaczej było i tego dnia, wiosną 1996 roku, gdy na porannej odprawie naczelnik wydziału kryminalnego Mariusz Grzelko przedstawił zadanie bojowe dla Szafrana i Piotra Trznadla: obserwacja z samochodu okolic ulicy Podwójnej, gdzie znajdowało się kilka kantorów, w których „samochodziarze” często wymieniali dewizy.

Aby nie narażać się na szybką dekonspirację, pojechali prywatnym oplem kadettem Trznadla. Zaparkowali przed kamienicą numer 9. W pewnym momencie Trznadel stuknął Szafrana palcem, pokazując na niskiego mężczyznę, który wysiadł z volkswagena jetty, zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy, i ruszył w stronę kantoru. Szafran od razu rozpoznał Tomasza Mikowskiego poszukiwanego trzema listami gończymi za kradzieże samochodów. Za kierownicą volkswagena siedział Paweł Brzęk, równie dobrze znany im amator cudzych aut.

– Idę – Szafran chwycił za klamkę. – Osłaniaj mnie.

Kiedy tylko Szafran wysiadł z auta, Mikowski – chyba za pomocą jakiegoś szóstego zmysłu – zwrócił uwagę na ruch przy oplu i momentalnie zorientował się, że ma do czynienia

z policjantami. Zawrócił na pięcie tuż przed kantorem i biegiem ruszył do jetty.

Szafran przecinał ulicę, gdy Mikowski wsiadał do samochodu.

Jeszcze nie zdążył dobrze wsiąść, gdy Brzęk ruszył.

Szafran był już wtedy przy aucie, chwycił za klamkę od strony kierowcy, ale drzwi były zamknięte. Nie namyślając się wiele, rzucił się na maskę samochodu. Widząc to, Brzęk zawrócił w stronę mostu granicznego, włączył wycieraczki na najszybszy bieg i zaczął jechać slalomem, chcąc zrzucić policjanta. Szafran usłyszał za plecami pisk opon, wiedział, że Trznadel ruszył z odsieczą.

Nagle Brzęk zrezygnował z jazdy slalomem, znacznie przyspieszył, wpadł na skrzyżowanie Podwójnej z Tylną i Jareckiego, minął zjazd na most graniczny, zjechał w Tylną. Tutaj mógłby się mocno rozpędzić, Szafran podjął więc błyskawiczną decyzję. Trzymając się lewą ręką maski volkswagena, prawą wyciągnął broń z kabury i uderzył pistoletem w przednią szybę, która zamieniła się w pajęczynkę. Auto stanęło, otworzyły się drzwi od strony kierowcy i pasażera, żadnemu ze złodziei nie udało się jednak postawić nawet nogi na ziemi. Szafran zwinnie sturlał się bowiem z maski na stronę pasażera, w mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach i jednym sprawnym chwytem wyciągnął Mikowskiego z volkswagena. W tym samym czasie Trznadel robił to samo z Brzękiem.

Mikowski wysoki nie był, a w porównaniu z Szafranem wyglądał jak dziecko, tak więc gdy policjant przycisnął go do asfaltu i zastosował kilka chwytów oraz ciosów, aby wybić mężczyźnie z głowy próby stawiania oporu, ten się nieco – jak to określali na komendzie – porysował.

Kiedy już zakuli obu mężczyzn w kajdanki, wezwali posiłki.

Radiowóz zjawił się po dwóch minutach. Pojechali z zatrzymanymi na komendę i zajęli się robotą papierkową, która pochłonęła resztę dnia.

To była pierwsza tak spektakularna akcja policji w Janowicach,

nic więc dziwnego, że wieść o niej rozniosła się lotem błyskawicy po całym mieście. Dotarła także do żony Szafrana, chociaż Asia nie wiedziała, że Staszek brał w niej udział. Sam też się do tego nie przyznał. Żona dowiedziała się o wszystkim znacznie później. Mikowskiemu prokuratura postawiła zarzut czynnej napaści na funkcjonariusza policji, miał też do odsiadki kilka innych wyroków, ale dzięki skutecznemu adwokatowi i pójściu na współpracę, szybko wyszedł na wolność. Pół roku później, ku wielkiemu zdziwieniu Szafrana, Mikowski zjawił się u niego w Wołowcu. Przyjechał, aby przeprosić policjanta, zaproponował też współpracę. Szafran propozycję przyjął, natomiast nie dał po sobie poznać, że jest przerażony faktem, że tak groźny przestępca zjawia się u niego w domu. Ze spotkania sporządził notatkę służbową, którą przekazał komendantowi z wnioskiem o pozwolenie na podjęcie współpracy z potencjalnym informatorem. Uzyskawszy zgodę, wkrótce zaczął Mikowskiego „urabiać”.

## Rozdział 8

Szafran szybko dorobił się opinii takiego, który żywemu nie przepuści. Mimo to wielu próbowało go albo przekupić, albo zastraszyć. Propozycje łapówek padały najczęściej przy okazji zatrzymywania przemytników papierosów, złodziei samochodów czy obcokrajowców przebywających nielegalnie na terenie Polski. Stawki były różne: 100 marek, 200, czasami nawet więcej. Zdarzało się, że zatrzymani w zamian za przymknięcie oka na przemyt 20 sztang papierosów nie proponowali pieniędzy, tylko informacje. Wtedy podejmował współpracę, cały czas mając na uwadze to, że dostarczany „towar” musi być lepszej jakości od tego, na który uwagi nie zwracał. Bywało, że zatrzymani oferowali współpracę, a po puszczeniu wolno próbowali się od niej wymigać, ale



wówczas, przy następnym spotkaniu, taryfy ulgowej już nie było. Ryzyko istniało zawsze, jednak aby pozyskać informatora, trzeba było je podejmować. Na tym przecież polegała praca operacyjna.

Czasem proponowana łapówka była bardzo wysoka, jak w przypadku namierzenia przemytnika papierosów, który miał pół garażu owego towaru. Regulamin określenia „pół garażu papierosów bez polskich znaków akcyzy” nie przewidywał, zatem trzeba było dokładnie je policzyć. Zaczęli więc razem z Klemińskim przekładać sztangi, wtedy padła gruba oferta:

– Ile chcecie? – przemytnik nie owijał w bawełnę. – Trzy tysiące marek?

Gdyby Klemiński z Szafranem skorzystali z tej intratnej propozycji, zyskaliby spory dodatek do policyjnej pensji, ale też natychmiast byliby spaleni. Szybko bowiem rozniosłaby się po mieście informacja, że wzięli. Ponieważ odmówili, światek przestępczy obiegł zgoła inny komunikat: dostali propozycję wysokiej łapówki, a i tak odmówili.

\*

A skoro Szafran był odporny na takie oferty i skuteczny w ściganiu przestępców, ci starali się unieszkodliwić go w inny sposób. Wielokrotnie próbowano podrzucić mu pieniądze, aby potem móc twierdzić, że przyjął łapówkę. Często zatrzymani w mieście podejrzani, więzieni na komendę wpychali pod siedzenie samochodu pieniądze, narkotyki lub inne „fanty” pochodzące z przestępstwa. Dlatego za każdym razem, gdy któryś z Trójki Pik przekazywał takiego delikwenta „na dołek”, sprawdzał jednocześnie auto. Próbowano też inaczej. Zaczęto pomawiać Szafrana o przekroczenie uprawnień podczas zatrzymań, czyli – krótko mówiąc – o pobicia. A że przy zatrzymaniach się nie patyczkował i zdarzały się „porysowania”, istniało niebezpieczeństwo, że prokuratura przynęte chwyci. I ten sposób

unieszkodliwienia niewygodnego policjanta zawodził, bo prokuratura takie dochodzenia umarzała. Przestępcy jednak byli nieustępliwi. Wiedzieli, że każda taka sprawa, każdy zarzut, każde wszczęcie dochodzenia w jakiś sposób na Szafrana musi oddziaływać. Tak samo, jak przebicie lewej przedniej opony w fiacie. To był kolejny sygnał, żeby sobie odpuścił. On jednak cały czas robił swoje. Wiedział, że tylko nieustępliwość wzbudzi respekt w świecie przestępczym. Inna sprawa, nie biorąc łapówek, mógł spać spokojnie, mając pewność, iż nigdy nie znajdzie się w sytuacji, że ktoś mógłby mu cokolwiek zarzucić. No, może poza porysowaniem kilku zatrzymanych...

## Rozdział 9

Respekt, który Szafran, Klemiński i Kozłowski wypracowali sobie w przestępczym światku, tym bardziej wywoływał złość, zwłaszcza u tych, którym szczególnie psuli szyki. Zbyt wiele razy weszli z butami w czyjeś intratne interesy i niektórym zależli mocno za skórę. To właśnie ci próbowali ich unieszkodliwić, składając lawinę donosów: na brutalność funkcjonariuszy, na łapówkarstwo i inne wymaginowane nadużycia. Brakowało tylko, żeby ktoś złożył skargę, że przeszli przez ulicę na czerwonym świetle...

\*

Któregoś razu Szafran od bułgarskiego informatora dowiedział się rzeczy już dużo mniej śmiesznej: jedna z działających w terenie grup przestępczych znalazła oficera policji, który za odpowiednią kwotę miał doprowadzić do jego zwolnienia ze służby. Niedługo potem inni informatorzy zaczęli go ostrzegać: „Uważaj na siebie, bo coś na ciebie szykują”. Za każdym razem zgłaszał to albo naczelnikowi wydziału kryminalnego, albo któremuś z komendantów. Zawsze słyszał to samo:

– To są przestępcy, ty jesteś policjantem, nie możesz się ich bać – padało z ust przełożonych. – Rób dalej swoje.

Więc robił.

\*

Była wiosna 1998 roku, na dworze śpiewały ptaki, zaczęło się robić zielono. Szafran był akurat zawalony stosem papierów do wypełnienia, gdy zadzwonił telefon. Nie bez trudu znalazł go pośród stosów teczek, kartek, notatników i Bóg wie jakich jeszcze formularzy.

– Szafran, słucham.

– Panie Staszku, niech pan przyjdzie – w słuchawce usłyszał głos zastępcy komendanta, Macieja Dobosza.

Zerwał się z krzesła i minutę później zameldował się u Dobosza.

– Proszę sobie usiąść – zastępca komendanta podrapał się po szyi.

Szafran zajął miejsce na krześle naprzeciwko biurka.

– Panie Staszku... – Dobosz chwilę zastanawiał się, jak to przekazać, w końcu postanowił walić prosto z mostu. – Z wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej w Krzesanicy dostaliśmy informację, że jest na pana zlecenie zabójstwa – podsunął mu papier pod oczy. – Zlecenie wyszło z aresztu śledczego.

– Kto za tym stoi? Ruscy? Czeczeńcy? Bułgarzy?

– Ale z pana patriota – próbował się uśmiechnąć. – Polacy. Tyle wiemy.

Szafran zaczął czytać notatkę służbową autorstwa jednego z kolegów z Krzesanicy. Właściwie, jakkolwiek to dziwnie zabrzmiało, do gróźb kierowanych pod swoim adresem przez miejscowych przestępców zdążył się już przyzwyczaić.

Ile to już razy były anonimowe telefony na komendę, że zrobią mu krzywdę, jak sobie nie odpuści? Donosów już nawet nie liczył, spraw o przekroczenie uprawnień, prowadzonych i umarzanych przez prokuraturę, też nazbierało się sporo. Tyle razy tłumaczył sam sobie: „Taki zawód wybrałem...”.

Już po wyjściu od komendanta sam siebie próbował uspokajać: „Skoro wcześniej było tyle informacji, że ktoś coś tam chce mi zrobić lub w coś mnie zrobić, to jedna więcej różnicy nie czyni... Trzeba dalej robić swoje i być w tym dobrym”. Ale marne to było pocieszenie i tym razem wybitnie nieskuteczne. Na myśl o 25 tysiącach złotych, które oferowano za jego głowę, czuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. I jeszcze fakt, że zlecenie wyszło z aresztu śledczego... Od tamtego dnia zaczął się oglądać za siebie na ulicy. Zawsze był przekonany, że jeśli kiedykolwiek stanie mu się coś złego, jeśli na przykład go zabiją, to dojdzie do tego na służbie. Teraz poczuł zagrożenie i w prywatnym życiu. Przez myśl mu wtedy nie przeszło, że niebezpieczeństwo jest zupełnie innego rodzaju, że trafi na salę sądową jako oskarżony. Kiedy tego dnia wrócił do domu, na pytanie Asi: „Jak było w pracy?”, zdawkowo odpowiedział, że cały dzień był zajęty papierkami. O zleceniu zabójstwa oczywiście nawet się nie zająknął.

## Rozdział 11

Aresztowanie szantażystów było jedną z wielu wspólnych akcji Szafrana, Klemińskiego i Kozłowskiego. Byli przy tym tak skuteczni, że to właśnie przestępcy obwołali ich Trójką Pik. Podczas kolejnego rutynowego patrolu, kiedy jeździli po mieście wysłużonym polonezem, wpadł im w oko znajomy duży fiat. Zarówno kierowca – Marcin Gorgol – jak i pasażer – Przemysław Przybyszewski – byli im dobrze znani jako przemytnicy szmuglujący papierosy z Niemiec i nieraz już zatrzymywani na gorącym uczynku. Skoro więc sami prosili się o kolejną kontrolę, trzeba było okazję wykorzystać. – Dzień dobry, panie Gorgol – Szafran zaprezentował szeroki uśmiech.

– Dzień dobry, panie władzo – odpowiedział Gorgol, próbując uśmiechać się równie szeroko, była to jednak próba wybitnie nieudana. Facet miał winę wypisaną drukowanymi literami na czole.

– Jak tam leci? – rzucił Klemiński.

– Wszystko w porządeczku, panie władzo – Gorgol się nie poddawał, krzywił mięśnie twarzy z konsekwencją wartą lepszej sprawy.

– Wszystko w absolutnym porządeczku, panie władzo – Przybyszewski postanowił poprzeć kolegę.

– Co wieciecie tym razem? – Szafran zagrał krótką piłką, przechodząc do nagłego kontrataku.

– My? – zdziwienie na twarzy Gorgola wyglądało na autentyczne, ale żaden z policjantów nawet przez chwilę nie dał się nabrać. – Nic – kłamał dalej z miną niewiniątka.

– Proszę otworzyć bagażnik, zobaczymy – polecił Klemiński.

– Ale, panie władzo, nie ma takiej potrzeby – Przybyszewski próbował ratować sytuację. – Jesteśmy czyści jak pupa niemowlaka.

– Chyba takiego, co to właśnie zrobił wielką kupę – Szafran podszedł do bagażnika. – No, do Wielkanocy czekać nie będziemy.

Najpierw dało się słyszeć chrzęst linki, potem stuknięcie zwalnianego zamka. Szafran podniósł klapę i gwizdnął przeciągle.

– Czyści jak pupa niemowlaka, tak, panie Przybyszewski?

– rzekł Szafran, podnosząc do góry sztangę papierosów marki West. – Bez polskich znaków akcyzy... Na moje skromne oko będzie tego z 50 sztang – zamknął bagażnik z hukiem.

– Panie Przybyszewski, pan się przesiądzie do naszego poloneza – polecił Klemiński.

Szafran zajął miejsce pasażera obok Gorgola i oba auta ruszyły w stronę komendy. Duży fiat został zaparkowany centralnie pod budynkiem, a Gorgol i Przybyszewski trafili do

poczekalni. Policjanci zgłosili sprawę najpierw dyżurnemu, potem naczelnikowi wydziału kryminalnego. Następnie zajęli się przygotowaniem notatki z zatrzymania. Sprawa była banalna, miesięcznie zdarzało się takich po kilka, kilkanaście, wystarczyło zatem skorzystać z szablonu, bez potrzeby tworzenia nowej literatury.

Notatka trafiła do naczelnika, ten polecił przekazać ją dzielnicowemu, jako że było to tylko wykroczenie. Szafran zszedł więc do pokoju dzielnicowych, przekazał papier jednemu z nich, potem razem zeszli na parking, gdzie doprowadzono Gorgola i Przybyszewskiego i w ich obecności spisano protokół zatrzymania towaru.

Kiedy Szafran wracał do 505, o sprawie już niemal zapomniał. W tamtych latach łapanie ludzi na przemyśle papierosów było codziennością taką jak mycie zębów czy golenie zarostu przed wyjściem do pracy. Tak więc dla Szafrana i jego kolegów „trzepanie” Gorgola i Przybyszewskiego było faktem mało znaczącym, jedną z setek, tysięcy rutynowych czynności.

Dlatego też tamtego dnia Szafranowi przez myśl nie przeszło, że ta sprawa jeszcze kiedyś wróci. I to z taką siłą.

\*

Na porannej odprawie u naczelnika wydziału Mariusza Grzelki 16 stycznia 2001 roku było bardzo gorąco. W nocy dyżurny odebrał zgłoszenie o strzelaninie w klubie nocnym „Amore Mio”. Lokal ten de facto był domem publicznym, zarządzanym przez pewnego szemranego, miejscowego biznesmena bez matury. Jako że działalność była dochodowa, często miał problemy z grupami przestępczymi, które próbowały roztoczyć nad nim parasol ochrony. Biznesmen miał swoich „ochroniarzy” i kolejne propozycje odrzucał w mało wybredny sposób. Tym razem jednak, jak niosła fama, ochroniarze przybyli nieco spóźnieni, gdy już trwała niezbyt przyjemna wymiana zdań. W pewnym momencie argumenty słowne postanowiono zastąpić mniej subtelnymi:

obie strony zaczęły do siebie strzelać.

Efekt był taki, że dwaj mężczyźni: Czesław Szob i Robert Nogat wylądowali na ostrym dyżurze janowickiego szpitala z ranami postrzałowymi nóg. Ponieważ obaj zgodnie odmówili złożenia zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, jak i samych zeznań, nie można było nic zrobić. Po prostu nie chcieli rozmawiać.

Policjanci, których dyżurny wysłał do „Amore Mio”, też niewiele wskórali. Właściciel lokalu zapewniał bowiem, że spór, jaki zaistniał, został polubownie rozwiązany i sprawy nie ma. Nie ma zgłoszenia, nie ma sprawy, funkcjonariusze nie weszli więc nawet do środka...

Taka była oficjalna wersja, w mieście jednak od samego rana huczało od plotek. Nawet zastępca komendanta Maciej Dobosz, kupując rano gazetę w kiosku, usłyszał, jak rozmawiano o tym w kolejce. Pogłoski też zdążyły już przybrać na wadze: według relacji spod kiosku Szob zginął, a Nogat został ciężko ranny.

W komendzie wszyscy zdawali sobie sprawę, że coś jest na rzeczy. Dlatego właśnie Dobosz kazał kryminalnym powęszyc w temacie. Szafranowi nie trzeba było 2 razy powtarzać.

Od razu po odprawie pojechał do „Amore Mio”, próbując zasięgnąć języka. Udało mu się porozmawiać chwilę z jednym z ochroniarzy, ale nic z niego nie wyciągnął. O strzelaninie jednak nie zapomniał i cały czas szukał ludzi, którzy mogli cokolwiek na ten temat wiedzieć. Cierpliwość została wkrótce nagrodzona, po kilku dniach złapał trop. Jeden z jego naj52 bardziej cennych informatorów dał „cynk”: tuż po strzelaninie jeden z gangsterów biorących w niej udział zadzwonił do funkcjonariusza z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krzesanicy, z pytaniem: „Co teraz robić?”.

Szafran drążył dalej i niedługo potem wiedział już, że chodziło o Zbigniewa Zawrotnego, funkcjonariusza Głównej Agendy Śledczej, z którym wcześniej wielokrotnie współpracował.

Szybko też udało mu się mniej więcej odtworzyć rozmowę policjanta z gangsterem, który zresztą okazał się być informatorem Zawrotnego. Funkcjonariusz GAŚ udzielał mu przez telefon instrukcji, jak wykaraskać się z sytuacji: kto ma zostać na miejscu, a kto zwać, co kto ma mówić i jak pozacierać ślady strzelaniny.

Wszystko, co udało się Szafranowi ustalić – włącznie z danymi Zawrotnego – opisał w raporcie, który trafił na biurko jego przełożonych. Ponieważ padło w nim nazwisko funkcjonariusza GAŚ, sprawę przekazano do komendy wojewódzkiej w Krzesanicy, a stamtąd – do prokuratury. Postępowania wobec Zawrotnego jednak nie wszczęto.

Ów raport był jednym z wielu, jakie Szafran stworzył, opierając się na informacjach zdobytych od swoich uchoi. Szybko jednak okazało się, że nie był on do końca raportem rutynowym.

O ile wcześniej Zawrotny wiele razy kontaktował się z nim, prosząc o pomoc w różnych dochodzeniach, o tyle teraz kontakt się urwał. Tym samym Szafran miał pewność, że Zawrotny o wszystkim wie.

## Rozdział 12 (fragment)

Mijały dni, a informacje o „szyciu butów” przychodziły nadal, włącznie z nazwiskiem pani prokurator, która miała nadzorować sprawę Trójki Pik. Szafran, poirytowany ciągłą psychologią ze strony przełożonych, postanowił zagrać inaczej. Wybrał się do Krzesanicy, ale tym razem nie do komendanta, ale do Wydziału Wewnętrznego.

– Siadaj, Staszek! – Jerzy Mordel przywitał się, po męsku ściskając dłoń Szafrana. – Kawka? Herbatka? Płaszczyk? – zażartował.

– Daj spokój, Jurek – rzucił Szafran, spięty do granic możliwości.

– Słuchaj, dzwoniłem do ciebie w czerwcu, jak byłem nad morzem...



– Pamiętam – uśmiechnął się. – Zamiast dać odpocząć hemoroidom, roztrząsałeś czarne scenariusze...

– To nie są żadne scenariusze – wiercił się na krześle jak przedszkolak. – Cały czas mam informacje z zaufanych źródeł, że ktoś na mnie zbiera haki.

– Przecież wiesz, że dobrego glinę zawsze próbują jakoś udupić – Mordel usiadł na brzegu biurka. – Jak nie chce brać, to szukają innego sposobu...

– No i ja właśnie o tym mówię – przerwał mu podekscytowany.

– Chwila, chwila... – Mordel podniósł rękę na wysokość twarzy. – Mówiłem tylko tak ogólnie, nie o tobie.

– Prowadzicie coś przeciwko mnie? – Szafran spojrzał Mordelowi prosto w oczy. – Bo mam takie informacje. Jeśli tak jest faktycznie, to jestem gotów zeznawać – cały czas utrzymywał kontakt wzrokowy. – Przesłuchajcie mnie!

– Po co niby mielibyśmy cię przesłuchiwać? – Mordel wytrzymał spojrzenie. – Staszek, coś ty... Nic takiego nie ma miejsca – zapewnił. – Wydział Wewnętrzny nie prowadzi przeciwko tobie żadnej sprawy.

– Słowo?

– Przecież znasz mnie kupę lat! – wstał, obszedł biurko i zaczął przeglądać stertę teczek, dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. – Wybacz, stary, ale mam mnóstwo zaległej roboty.

– Jasne, rozumiem – Szafran wstał, chwycił kurtkę. – Mówisz, że nie ma przeciwko mnie żadnej sprawy, a ja słyszałem, że prowadzi ją ta laska z prokuratury, Marzanna Wilamowska – zagrał z zaskoczenia.

– Nic takiego nie słyszałem – Mordel się skrzywił.

– To na razie! – pożegnał się.

Już w drzwiach komendy, zbiegając po schodach, zaczął analizować przebieg rozmowy. Zanim dotarł do auta, doszedł do wniosku, że Mordel mówi prawdę i Wydział Wewnętrzny przeciwko niemu nie prowadzi żadnej sprawy. W końcu

znali się od lat, wiele razy współpracowali, jak choćby przy sprawie tego kradzionego golfa, dlatego nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć.

Kiedy wsiadał do auta, zdecydował nagle: skoro już jest w Krzesanicy, to odwiedzi prokurator Wilamowską. Jak postanowił, tak zrobił. Zaparkował pod tabliczką „Parking służbowy”. Wysiadając, spojrzął w górę. Od marmurowej fasady siedziby prokuratury okręgowej odbijały się promienie słońca. Wziął to za dobry znak, podszedł do drzwi, nacisnął przycisk domofonu, gdy zabrzmiało: „Słucham”, przedstawił się, przyłożył legitymację służbową do oczka kamery i wyjaśnił:

– Ja do pani prokurator Marzanny Wilamowskiej.

Rozległ się dźwięk elektromagnesu, wszedł do środka, zgodnie ze wskazówkami skierował się na trzecie piętro. Musiał poczekać, aż pani prokurator skończy przesłuchanie, zajął więc miejsce na ławce stojącej na korytarzu. Wilamowska przyszła po dobrej godzinie.

– Dzień dobry, pani prokurator, Staszek Szafran z Janowic

– zerwał się na jej widok. – Słyszałem, że prowadzi pani przeciwko mnie jakąś sprawę.

– Teraz z panem rozmawiać nie będę – ucięła Wilamowska, przyspieszając kroku.

– Pani prokurator – biegł za nią – jeśli ma mi pani coś do zarzucenia, to ja bardzo chętnie będę współpracować.

– Nie mamy o czym rozmawiać! – włożyła klucz do zamka, nawet nie spojrzawszy w jego stronę. – Później sobie porozmawiamy – rzuciła na odchodnym, zatrząskując drzwiami.

Stał jak wryty, zastanawiając się, co takiego miała na myśli?

„Później sobie porozmawiamy!”. To jednak coś musi być na rzeczy... Gdyby nie miała niczego do ukrycia, to porozmawiałyby normalnie, teraz... Myśli kotłowały się w głowie niczym sztorm w ryczących czterdziestkach.

Wyszedł na zewnątrz budynku, wsiadł do auta, wycofał,

ruszył w kierunku ulicy Bolesława Prusa, cały czas mając mętlik w głowie. Nie pomyślał, żeby się odwrócić i jeszcze raz spojrzeć na odnowioną siedzibę krzesanickich śledczych. Ale, nawet gdyby to zrobił, nie mógłby dojrzeć, jak chwilę po zatrzaśnięciu drzwi przez Marzannę Wilamowską telefony w prokuraturze okręgowej rozgrzewają się do czerwoności.

\*

Kiedy wyjeżdżał z Krzesanicy, miał minorowy nastrój, ale w drodze do Janowic – w typowy dla siebie sposób – próbował się pocieszać.

– Co ma być, to będzie – powiedział do siebie i machnął ręką, ufny, że los nadal będzie mu sprzyjać. – Niczego złego nie zrobiłem, jakby coś tam próbowali na mnie kręcić, to i tak wszystko szybko się wyjaśni. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Chyba że któryś z bandytów dostał po mordzie podczas zatrzymania i się na to poskarżył – główkował. – Ale to przecież nie byłby pierwszy raz – uśmiechnął się pod nosem. Tak uspokojony, robił dalej swoje i to tak dobrze, że na początku października dostał propozycję pracy w wydziale kryminalnym KWP w Krzesanicy, w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną. Po rozmowie z Asią zdecydował się jej nie przyjąć. Mieli małe dziecko, a musiałby codziennie dojeżdżać do Krzesanicy. A przecież wyniki miał dobre tutaj, na miejscu, u siebie.

Dwa tygodnie później przyszła kolejna oferta z krzesanickiej komendy, tym razem służby w brygadzie antyterrorystycznej.

Odmówił z tych samych powodów, chociaż kwestia dojazdów nie była jedyną, która o tym zadecydowała.

Od dawna marzył o służbie w Biurze Bezpieczeństwa Państwa. Był już nawet na rozmowie kwalifikacyjnej, potem go sprawdzili, a że miał nieskazitelną opinię, dostał zielone światło. Musiał tylko jeszcze skompletować potrzebne dokumenty i napisać podanie o przyjęcie do

służby.

Zaczął je pisać, miał nawet wersję na brudno, ale czystopisu  
nie zdążył już przygotować.